

Koszykówka kiedyś i dziś.

W Krakowie przy ulicy Prądnickiej, gdzieś na wysokości drugiego piętra, czyli około dziewięciu metrów nad ziemią, w starej meblościance tuż nad barkiem jest gablotka. Niby nic nadzwyczajnego, w końcu w PRL-u wszystko było robione na jedno kopyto, więc podobnych mebli w Polsce jest wiele, ale ten jest inny, ma z pewnością ciekawsze wnętrze. Znajduje się w nim prawdziwy wehikuł czasu w postaci starych medali, klubowych odznak - reliktyw dawnej sławy, jedno z moich najlepszych wspomnień z wizyt u dziadków. Między medalami, odznaczeniami Polskiego i Krakowskiego Związku Koszykówki, znaczkami Realu Madryt, A.E.K Ateny, wielu odznak klubów wschodnich i jeszcze większej ilości przypinek jubileuszowych Wisły znajduje się jedna jedyna, osierocona, ale jakże cenna odznaka z herbem Gwardii Kraków. Samotna bo unikatowa w kolekcji, później Gwardia Kraków wróciła do swojej pierwotnej nazwy Wisła i młodsze koleżanki naszej przypinki już z dumą nosiły Białą Gwiazdę. Kiedyś takie odznaczenia były popularne, dostawało się je przy każdej większej okazji. Wyrobienie trzystu procent normy było jednoznaczne z odznaczeniem, czołowy przodownik pracy dostawał medal, tytuł najbardziej zapracowanego metalurga również wiązał się z medalem, ale ta przypinka była inna, lepsza. Nie każdy mógł zostać posiadaczem małego kawałka metalu z herbem Gwardii, prawo ich noszenia miało tylko dwanaście osób, cała pierwsza drużyna mistrza Polski w koszykówce mężczyzn z roku 1954.

Dzień 28 marca 1954 roku przeszedł do historii koszykówki. Ów marzec był o tyle pamiętny, że zapoczątkował on erę panowania Wisły na krajowych parkietach. Przez następne piętnaście lat koszykarze tego klubu zawsze plasowali się na podium lub tuż poza nim. Co im przyszło z tego tytułu? Na dzisiejsze realia prawie nic. Dostali od klubu, wcześniej wymienione, odznaczenie z herbem Gwardii Kraków, pamiątkowy dyplom i swoje miejsce na ścianie. Nie chodzi mi o prywatną powierzchnię do zagospodarowania, słowo prywatne w tych czasach było rzadko spotykane, zostali uwiecznieni na okolicznościowym *tableau* i, jakkolwiek źle by to nie brzmiało, powieszeni w budynku klubowym, gdzie z dumą przez lata spoglądało na kibiców. Tak to wyglądało kiedyś, sport był amatorski, grało się z pasji a nie dla pieniędzy. Czasy się zmieniły, widać to dobrze w podejściu do gry jak i w motywacji zawodników. Kiedyś liczyło się serce i umiejętności, dziś liczą się tylko wyniki i kontrakty. Dwunastka z 54 roku to tytani pracy, królowie parkietu, urodzeni zwycięzcy. Co jest najważniejsze, reprezentowali klub z miłości do barw, kiedyś priorytety były inne. Sport kiedyś był szansą na wyrwanie się zza żelaznej kutyny i zwiedzenie świata. Nie ustępowali umiejętnościami dzisiejszym gwiazdom, ale to też były czasy, gdy gra toczyła się zupełnie inaczej i o inną stawkę. Styl się zmienił z finezyjnego pląsu po parkiecie w grę siłową. Kiedyś obok przygotowanie fizycznego liczyła się również technika, pomysł, kreatywność nie ślepo wpojony system. Na boisku było więcej szacunku i uznania dla rywala, jak się faulowało to tylko w wyniku walki o piłkę, nie było żadnych chłodnych kalkulacji i fauli taktycznych. Dziś zdobycie mistrzostwa kraju kojarzy się z „wielką fetą”, jednak wtedy wyglądało to inaczej. Po wygranej meczu drużyna poświętowała trochę w szatni, grzecznie się ubrała i ruszyła na

pociąg powrotny z Gdańska do Krakowa. Może to obcy teren zdecydował o skromnej celebracji tytułu a może to po prostu, jak już wcześniej pisałem, czasy były inne.

Na parkiecie było ich pięciu, w drużynie dwunastu a dziś zostało już tylko czterech. Kim byli? Co się z nimi dalej działo? Cała dwunastka składała się z następujących graczy: Bętkowskiego Jerzego zwanego „Bonusem”, Dąbrowskiego Zdzisława „Tatę”, Bartnika Stanisława „Sinek”, Mikułowskiego Jana, Pacuły Tadeusza, Niewodowskiego Ryszarda pieszczotliwie przezywanego „Smoczkiem”, Pyjosa Romana, Paszkowicza Antoniego, Sikory Mieczysława czyli „Czajnika”, Wójcika „Wujka” Stefana oraz Swobody Tadeusza „Golem” i Wężyka Macieja.

Sława przemija, zostają wspomnienia, z osób publicznych zmieniają się w zwykłych obywateli. Jednak każdy z nich zyskał popularność w swoim otoczeniu. Trener drużyny Jerzy Groyecki kładł nacisk, żeby wszyscy z nich skończyli studia i znaleźli pracę. Miał w tym jeszcze jeden cel, w momencie trafienia do wojska jego zawodnicy zasililiby stołeczną Legię, czego żaden Wiślak nie chciał. W tamtych czasach nie można było się utrzymać ze sportu. Zawodnicy dostawali raz na jakiś czas pieniądze od klubu, było to tak zwane „dożywianie”. Większość graczy było studentami Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego dzisiejszego AWF im. Bronisława Czecha, co wydaje się być oczywiste, ale zdarzyli się w drużynie ekonomiści, inżynierowie i poligraf. Po zakończonej karierze nie rozstali się ze sportem, prawie każdy z nich przeżył swoją przygodę z zawodem trenera, z sukcesami w większym lub mniejszym stopniu. Na wyróżnienie zasługują: Jan Mikułowski były trener Reprezentacji Polski w kosza oraz Jerzy Bętkowski, również trener reprezentacji, który zdobywał z Wisłą mistrzostwo jako zawodnik i jako jej trener. W tym gronie znaleźli się uznani sędziowie międzynarodowi Maciej Wężyk i Zdzisław Dąbrowski. Co jest warte podkreślenia, każdy z nich wykorzystał swoje zdolności do pracy grupowej i wrodzone umiejętności przywódcze zostając kierownikiem. Z drużyną był również związany Jan Janowski, w 1954 roku kierownik zespołu a w latach późniejszych profesor, rektor AGH oraz wicepremier w Rządzie Tadeusza Mazowieckiego.

Co z żyjącymi legendami? Udało mi się porozmawiać tylko z dwoma zawodnikami z tej pozostałej czwórki - z Romanem Pyjosem i Ryszardem Niewodowskim. Co smutne, jeszcze ~~w~~ dwa lata temu była ich szóstka graczy, mogli więc wystawić meczową piątkę i mieli komfort w postaci rezerwowego. Pamiętam jak dziś, jak Ryszard Niewodowski (prywatnie mój dziadek) wysyłał kondolencje do rodziny zmarłego Mieczysława Sikory, mając świadomość tego co się stało i nie do końca będąc pogodzony z faktem pisał w liście: „Widzisz Mietku zdekompletowałeś nam naszą ostatnią piątkę”. To ~~bardzo~~ pokazuje jak bardzo blisko byli ze sobą i jak wiele dla tych byłych zawodników znaczył sport. Z resztą sport dalej odgrywa dużą rolę w życiu Pyjosa i Niewodowskiego, ale o tym za chwilę.

Ryszard Niewodowski to postać nieprzeciętna, śmiało można powiedzieć, że jest ewenementem w skali światowej, mało który zawodnik w wieku, dopiero co, piętnastu lat zdobywa tytuł mistrza polski seniorów. Jednak, co jest bardziej imponujące, to był jego

czwarty sezon treningowy, dziś gracz z tak szybkim progresem mógłby przebierać w ofertach klubów. Jednak kariera Ryszarda Niewodowskiego nie była taka łatwa, jak sam mówi, tytuł wymykał im się z rąk przez lata, w reprezentacji też nie było kolorowo. Został powołany do gry z orzełkiem na piersi aż 37 razy, nawet miał jechać na olimpiadę 1960 do Rzymu, tylko jedna rzecz stała na przeszkodzie, jego niepowtarzalny styl gry. Niewodowski był wzrostu klasycznego rozgrywającego, czyli miał około 180 cm. Dzięki temu zyskiwał na szybkości i dynamice, mógł się pochwalić nienaganną techniką, zamiast przepychania się pod kosz wolał używać szerokiej gamy sztuczek technicznych i tym zwodzić rywala. Nie pasowało to jednak trenerowi reprezentacji, który preferował, zamiast dynamicznych wejść pod kosz, rzuty z półdystansu i grę na wysokich zawodników. Niestety dla tak samodzielnego rozgrywającego nie było tu miejsca, grę Niewodowskiego w pełni docenił amerykański trener Arnold Auerbach, który w 1964 roku w Krakowie, prowadząc drużynę NBA All Stars, stoczył bój z Wisłą. Po meczu stwierdził, że jest oczarowany techniką Ryszarda i nie odstaje on umiejętnościami od najlepszych amatorskich graczy zza oceanu. Olimpiadę odbił sobie dość szybko możliwością konfrontacji w Mistrzostwach Europy z 1961 w Belgradzie, udziałem w meczu z Drużyna All Stars w roku 1964 roku i Festiwalu FIBA w 1965 roku. Co zabawne w karierze Niewodowskiego to jego pierwszy przydomek „Smoczek”, został tak nazwany przez kolegów z drużyny bo był najmłodszy. W momencie debiutu w Wiśle/Gwardii był jeszcze uczniem szkoły podstawowej, gdy jego koledzy już studiowali... Smoczek, w Krakowie zwany Cumlem, jest tu nawiązaniem do atrybutu każdego dziecka. Jednak życie się ciekawie ułożyło bo z biegiem lat Niewodowski za swoją waleczność i oddanie został nazwany Smokiem, a i całą drużynę mianowano „Wawelskimi Smokami”. Więc historia boiskowego przezwiska zatoczyła koło. Po wspaniałych 15 sezonach i zakończeniu kariery sportowej w 1967 skupił się już tylko na pracy poligrafa, by na końcowe 25 lat przed emeryturą zostać kierownikiem poligrafii w zakładach cukierniczych Wawel. Dalej grał w kosza w drużynie old-boyów Wisły, w ten sposób zaspokajał swoją pasję i pociąg do rywalizacji na parkiecie. Jeśli chodzi o barwy to dalej udaje się na mecze wraz ze swoimi kolegami oraz zajął się, na własną rękę, gromadzeniem materiałów i wycinków prasowych o znanych koszykarzach, tworząc tym samym jedno z okazalszych archiwów. Przez skrzętną dokumentację otrzymał miano „kronikarza”. Dziś jest pogodnym emerytem, lubiącym spędzać czas na działce, dalej interesuje się sportem każdego rodzaju. Wieczorami rozmawia z kolegami z dawnych czasów i godzinami analizują sytuacje grupowe oraz różne zagrania. Z Wisłą po złoto sięgał trzykrotnie.

Roman Pyjos jest osobą, która się nie zmienia od lat, to człowiek, któremu wiek służy. Patrząc na jego zdjęcie z pamiątkowego *tableau* wygląda niemal identycznie jak w 1954 roku. Pyjos w drużynie Gwardii odniósł kilka sukcesów oprócz mistrzostwa, na pewno można do nich zaliczyć wygraną Spartakiady w 1951 roku, było to pierwsze trofeum klubowe dla koszykarzy Wisły, rok później wywalczył z drużyną Puchar Polski. Młody, zdolny, dobrze się zapowiadający gracz, na boisku był niezwykle dynamiczny. Cechował go dobry rzut z dystansu i umiejętność energicznego wejścia pod kosz. Wysoki (na owe czasy) i silny, był graczem niebojącym się konfrontacji, można powiedzieć, że stylem gry idealnie

pasowałby do drużyny piłki ręcznej... i tak właśnie się stało. Roman Pyjos w 1955 roku, tylko z sobie znanych powodów, zrezygnował z kosza i zajął się popularnie zwanym szczypiorniakiem, dla niego był to strzał w dziesiątkę. W klubie Zwierzynieckim rozwinął skrzydła, pracował tam jednocześnie jako zawodnik i trener. Przez lata był jednym z podstawowych zawodników reprezentacji kraju. Jego największym osiągnięciem sportowym był udział w 1958 roku na Mistrzostwach Świata w Piłce Ręcznej w NRD, gdzie został wybrany najlepiej atakującym lewoskrzydłowym turnieju. Dwa lata później zostaje królem strzelców ligi państwowej. Po zakończeniu kariery zajmuje się trenerstwem, przez lata pracował z młodzieżą w takich klubach jak Zwierzyniecki i Hutnik. Swoją pasję do Wisły przelał na papier wspólnie z synem Arturem, jest autorem dwóch książek „Pod Wiślackim koszem kobiet i mężczyzn” oraz „80 lat Rady Seniorów TS Wisła Kraków”, w realizacji tych pozycji nieoceniony wkład dołożył, jako redaktor techniczny i ikonograf, Ryszard Niewodowski ze swoim archiwum. Z czasem granica wieku z 1954 roku między dwudziestotrzyletnim studentem AWF a tym piętnastoletnim młokosem się zatarła, dziś są starszymi panami, którzy się przyjaźnią od ponad pół wieku. Co ciekawe obchodzą urodziny zaraz po sobie, Niewodowski jest z ósmego a Pyjos z dziewiątego lutego.

Cały czas żyją sportem a serce oddali Wiślerce, z godnością „ Honorowego członka klubu”. Od lat Pyjos z dziadkiem Ryśkiem działają w Radzie Seniorów Wisły Kraków, do dziś wspólnie chodzą na mecze Wisły, do dziś jak się spotykają to nie ma tematu chorób, pieniędzy i innych bolączek, rozmawiają tylko o Wiśle.

Michał Twaróg